

665 O działalności artystycznej Teatru Dramatycznego w Legnicy niewiele się w kraju mówi. Można nawet założyć, że szeroko pojęta publiczność teatralna w znacznej swej części nawet nie wie, że w Legnicy teatr w ogóle istnieje.

TEATR BEZ IMIENIA

KRZYSZTOF KARWAT

W połowie lat siedemdziesiątych zaczęło w Legnicy coraz głośniejsze mówić o potrzebie utworzenia w tym mieście profesjonalnej placówki artystycznej. Chciano w ten sposób podkreślić, że ranga i prestiż Legnicy winny ulec podwyższeniu. Wybór padł na teatr. Cóż bowiem lepiej niż teatr wyrazić fakt, że miasto stało się stolicą nowego województwa? Za wyborem teatru przemawiały jeszcze inne względy. Otóż na legnickim rynku stał już od niepamiętnych czasów zabytkowy, poniemiecki budynek teatralny. Wystarczyłoby go poddać gruntownej przebudowie i modernizacji. Tak też zrobiono.

„TEATR DWORSKI”

Do pracy zabrano się ochotczo. Trudno to dziś zrozumieć, ale nie zabrakło pieniędzy, „odków, materiałów budowla-

nych i fachowców. Miarą ambicji władz środowiska stał się szczególnie rekord, jaki padł w roku 1977. Powiada się, że remont ukończono po dziewięciu miesiącach! Pracowano tak szybko, że w tym entuzjazmie zlikwidowano... małą scenę, która zapewne przydałaby się teatrowi. Niemniej dzisiaj, po siedmiu latach cały budynek, scena i widownia prezentują się okazałe. Nikt już nie pamięta w Legnicy, że w listopadzie 1977 roku w trakcie trwania przedstawienia „Lato w Nohant” J. Iwaszkiewicza, które uroczyście zainaugurowało działalność teatru, urwał się kawałek sufitu, co na szczęście miało miejsce w „niezależnej” części budynku.

Tworzeniu się legnickiego teatru towarzyszyła dwuznaczna atmosfera. Lokalne władze argumentowały, że powstanie teatru jest niemal koniecznością dla legnickiej Mieszkańcy Leg-

nicy i okolic — twierdzono — to przede wszystkim ludzie, którzy zjechali tu z różnych stron kraju. Kultura powinna być zatem czynnikiem integrującym. Argumentem był również wielki przemysł miedziowy. Młodym górnikom, ludziom ciężkiej pracy powinno się zagwarantować godziwą rozrywkę. Hasła o potrzebie łączenia świata pracy i kultury nikt jeszcze nie zapomniał.

W fakcie stworzenia Teatru Dramatycznego dostrzegano głównie czynniki ambicjonalne! prestiżowe, partykularne. Złośliwi zaczęli szeptać, że w Legnicy rodzi się „teatr dworski”. W loży dyrektorskiej zainstalowano nawet... telefon. A nuż, któryś z zaproszonych gości odczułby potrzebę natychmiastowego kontaktu z

rzeczywistością pozateatralną. Podobno zdarzyło się, że telefon ten kiedyś naprawdę zadzwonił...

W środowisku teatralnym podkreślano, że w Polsce brakuje wykwalifikowanych kadr aktorskich i tworzenie nowych scen ten odwieczny problem jedynie pogłębi, bo adepci odpowiedniego poziomu artystycznego, niestety, nie zapewnia. Coraz trudniej również o pozyskanie pracowników technicznych. Fachowcy — zwłaszcza obecnie — uciekają z teatrów, ponieważ będąc stolarzami czy krawcami, nie zarobią nawet połowy tego, co mieliby pracując jako „normalni” rzemieślnicy.

W Legnicy odparto te argumenty... pieniędzmi i mieszkaniami. Aktorom zagwaran-

towano od razu mieszkania w jednym z budynków osiedlowych. Mówiono wówczas, że jest to podarunek górników zagłębia miedziowego dla „swoich” artystów”. Udało się w ten sposób skompletować dwudziestoosobowy zespół i ściągnąć z Wrocławia grupę „technicznych”, ceniących i kochających pracę w teatrze.

NASTAŁ ROK OSIEMDZIESIĄTY...

Atmosfera panująca wokół teatru stawała się ciężka. Środowisko teatralne, jak chyba żadne inne, stanowi świetną glebę dla rodzenia się plotek, ploteczek... W dobrym tonie było mówić o teatrze legnickim... źle. Dwuznaczności, nie-domówienia i pomówienia nie sprzyjały konsolidacji zespołu artystycznego. Mimo systemu zabezpieczeń, świec dymnych, jakie miały chronić teatr, nowa placówka artystyczna wystartowała nieudanie. Nie zdołał Teatr Dramatyczny w Legnicy wyraźnie zaznaczyć swego miejsca i pozycji na mapie teatralnej Polski. Znalazł się on jakby poza tą mapą, na marginesie.

W roku 1980 podniosły się głosy, że teatr jest niepotrzebny, zbędny. „Wielkie pieniądze” zaczęły się kończyć. Załogi wielkich zakładów pracy nie wyrażały już ochoty na dotowanie działalności teatru. Fikcja wielkiej frekwencji i pełnej kasy wyszła na jaw. Rzeczywistość stawała się coraz bardziej okrutna. Tajemnicą poliszynela było to, że w latach siedemdziesiątych teatry prowincjonalne radziły sobie z publicznością. Najczęściej bywało tak, że związki zawodowe wykupywały całe

przedstawienia, rozdając jednocześnie darmowe bilety robotnikom. Żadne bodaj statystyki nie były wówczas bardziej zakłamanie niż teatralne.

W roku 1980 okazało się jasne, że hasła o „robotniczym teatrze” były dobrze i logicznie wymyślonymi frazesami. Nie było jednak, sądzą, winą teatru, że nie stał się on — jak oficjalnie na początku mówiono — „dużą robotniczego miasta”. Ileż to bowiem powstało w ciągu ostatnich czterdziestu lat scen prawdziwie proletariackich? No, wymienimy tu Teatr Ludowy w Nowej Hucie w jego heroicznym okresie połowy lat pięćdziesiątych. Wyliczanie innych teatrów jest już trudne.

Zaczął się utarczki, niesnaski towarzyskie, podchody. Ponawiały się ataki personalne. Teatr znalazł się na cenzurowanym. Dyrektor i kierownik artystyczny zmuszony był ustąpić ze stanowiska. Jego miejsce zajął Józef Jasielski, któremu przypada niewdzięczna rola przywrócenia (lepiej powiedzieć: nadania) dobrego imienia scenie legnickiej. Ale i z tym „imieniem” będą kłopoty, o czym wypadnie powiedzieć za chwilę. Ponadto zespół artystyczny był w rozpacz.

SZARA CODZIENNOŚĆ

Józefowi Jasielskiemu udało się zatrzymać przy sobie część zespołu. Najważniejsze jednak, że do Legnicy przyjechała młodzież aktorska. Tu bez kłopotów otrzymali mieszkania, do których mogli spróbować (CIĄG DALSZY NA STR. 8)



„Balladyna” J. Słowackiego w Teatrze Dramatycznym w Legnicy
Zdjęcie: Jan Bebel

TEATR BEZ IMIENIA

(DOKOŃCZENIE ZE STR 7)

wadzić się wraz z rodzinami. Kiedy na przykład Marian Czerski po ukończeniu szkoły wrocławskiej postanowił ruszyć do Legnicy, przestrzegano go przed tym krokiem. Opinia tzw. środowiska była jednoznaczna. Legnica?! — dziwno się, uśmiechając się przy tym wymownie. Czerski nie miał jednak niczego do stracenia. Liczył na to, że na legnickiej scenie nie będzie musiał nosić przysłowiowej halabardy. I nie pomylił się. Znalazł tu przede wszystkim to co najważniejsze. „Młody aktor, który nie dostaje dużych, interesujących ról, musi umrzeć” — twierdził Czerski. I ma rację. Sam zadowolony jest, że mógł np. zagrać Syna w „Sklanej menażerii” T. Williamsa.

Czy jednak młodzi rzeczywiście są tam szczęśliwi? Zwykło się mówić, że przyjmują takie oferty z konieczności. Niektórzy traktują pra-

cę na prowincji jako zysk. Większość z nich (jeśli nie wszyscy!) marzy o większych ośrodkach teatralnych. Specyfika tego zawodu polega między innymi na tym, że jego wykonywaniu musi towarzyszyć jakakolwiek sankcja społeczna. Na prowincji zaś aktor nie zawsze wierzy w sens swej pracy. Rzadko odczuwa nieklamana satysfakcję. Aby tę satysfakcję choćby w minimalnym stopniu uzyskać, teatr legnicki sam sobie jej udziela. W jednym z programów czytamy, że 27 marca z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru nagrody za najlepsze role w ubiegłym sezonie otrzymali: Krystyna Hebda za rolę Matki w „Pelikanie” A. Strindberga, Zbysław Jankowiak za rolę Czepca w „Weselu” oraz Mariusz Olbifski za rolę Łomowa w „Zartach scenicznym” A. Czechowa. Nagrody przyznał — rzecz niespotykana i wymo-

wna — kierownik artystyczny legnickiego teatru.

W Legnicy zespół aktorski liczy sobie około dwadzieścia pięć osób. Praktycznie wszyscy posiadają kwalifikacje zawodowe. Nic tak nie denerwuje kierownika artystycznego jak krążąca po Polsce plotka mówiąca, że w Legnicy nie ma zawodowców i scena opiera się na pracy adeptów. Brakuje aktorów średniego pokolenia. Młodzi bowiem traktują prowincję jako punkt zaczepienia, by przy nadarzającej się okazji uciec do dużego miasta. Starzy zaś ze zrozumiałych powodów tkwią w tym samym miejscu.

Jaki jest dzień Teatru Dramatycznego w Legnicy? Zapewne pogodniejszy niż dawniej. Atmosfera pracy stała się po prostu normalna. W roku 1982 zespół był skłócony. Pozycja nowego dyrektora została zagrożona. Animozje i konflikty, jakie trawiły to małutkie przeciw środowisko, przybrały groźne, ale i karykaturalne formy. Ostatecznie grupa aktorów opuściła teatr. Mój pobyt w Legnicy utwierdził mnie w opinii, że głośny film A. Holland „Aktorzy prowincjonalni”, ukazując „teatralną kuchnię”, był wielce prawdziwy i nie był — jak się gdzieś gdzieś dało słyszeć — niesprawiedliwy.

Józef Jasielski proponuje widzów ciekawy, choć z konieczności eklektyczny reper-

tuar. (Nawiasem mówiąc, próżno jest szukać na afiszach nazwiska kierownika literackiego). W Legnicy grano zatem: Wyspiańskiego, Williama, Fredre, Grochowiaka, Strindberga, Słowackiego, Buihakowa. Prawie wszystkie sztuki reżyseruje ten sam człowiek. Właśnie kierownik artystyczny. Nigdy i nigdzie zjawisko takie nie jest pożądanym. Do Legnicy „reżyserzy z nazwiskami” przyjeżdżać nie chcą.

Publiczność? Statystyki Teatru Dramatycznego są optymistyczne. Ilość widzów w skali rocznej rośnie i co za tym idzie — rosną wpływy w kasie (w r. 1983 wyniosły ponad 3 mln złotych). Takie wskaźniki mnie nie przekonują, nawet jeśli są zupełnie prawdziwe. Zwiększająca się ilość widzów może być bowiem (a często w przypadku teatrów prowincjonalnych jest) funkcją sprawności działania Biura Organizacji Widowisk. Wiadomo, że najbardziej ceniony dla teatru jest widz, który sam kupuje bilety. Takich widzów teatr legnicki ma niewiele. „Zaplecze intelektualne” teatru jest siłą rzeczy małe. To prawda, że teatr dociera do mniejszych miast, spełnia jednak kulturotwórczą rolę (Teatr Dramatyczny „obsługuje” miejscowości pięciu województw). Z atencją w Legnicy traktowany jest widz młodzieżowy. Młodzież chodzi

do teatrów głównie dlatego, że „musi” bądź „wypada”. No i połowę przedstawień Teatr Dramatyczny wystawia dla młodzieży o godz. 12.00. Podobnie, regularnie przygotowywane są bajki dla dzieci.

Kierownictwo teatru sięga zatem po środki, które widza przywiązałyby do teatru. Ostatnio wystawiono np. „Meza i żonę” Fredry. „Momenty” stanowiły niewątpliwą atrakcję spektaklu. Uwagę zwróciły również nazwiska twórców: egzotyczne (reżyserem był Bernard Ford Hanaoka) i głośne (muzykę skomponował Czesław Niemen). Nie mam nic przeciwko tego typu zabiegom, jeśli traktuje się je jako środek do czegoś, a nie metodę obowiązującą.

TEATR NIEKOCHANY

Teatr Dramatyczny w Legnicy ma niedobłą opinię w kraju. O przyczynach takiego stanu rzeczy już wspominałem. Dodać tu trzeba, że opinia taka głoszona jest często przez ludzi, którzy nigdy w tym teatrze nie byli. Mogłem się o tym przekonać rozmawiając z mieszkańcami Legnicy. Oczywiście, teatr legnicki nie jest zjawiskiem wyjątkowym. Mieści się jednak zapewne wśród wielu innych teatrów, które działają w małych miastach. Nie jest od nich ani gorszy, ani lepszy. Ostatnia premiera, jaką jest

„Molier albo Zmowa świętoszków” M. Buihakowa, ciekawie na przykład wykorzystuje zawsze przeciw trudną konwencję „teatru w teatrze”. Rzecz jest interesująca opowiedziana, choć przesłanie spektaklu nie nabrało uniwersalnych wymiarów. I tak obejrzelśmy po prostu przyzwyczajoną do scenicznej historii życia Moliera.

Trudno jednak teatrowi zrzucić z siebie nieszczerne odium. Teatr czuje się niedowartościowany. Kompleksy rosną. W 1982 r. nadarzała się okazja zwrócenia na siebie większej uwagi. Zbliżała się rocznica pięćdziesiąta teatru. Na tę okazję przygotowano „Wesele”. Chciano zaprosić gości „z Polski”. Coraz głośniejszemu wiono o potrzebie nadania teatrowi imienia. Zdecydowano się na Swinarskiego. Aby uczcić ten fakt rozpisano konkurs na popiersie wielkiego reżysera. W ruch poszły pieniądze, poczyniono różnego typu przedsięwzięcia organizacyjne. Przygotowano okolicznościową sesję popularnonaukową. I wtedy rozległy się głosy, że „nie uchodzi”, aby „taki” teatr nosił „takie” imię. Wprawdzie nie istnieją resortowe prawa zabraniające nadawania imion teatrom, to jednak naciski „z góry” były na tyle silne, że teatr musiał się poddać. Teatr pozostał bez imienia.

Teatr próbował również „zapisać się” na któryś z ogólnopolskich festiwali. Bezskutecznie. W Legnicy twierdzi się, że nie posiada siły przebić. Owszem, zgłaszała propozycje repertuarowe (np. na konfrontacje opolskie), lecz nie zostały one po prostu rozpatrzone. Komisja artystyczna, która w takich przypadkach kwalifikuje spektakle do Legnicy nie przyjechała. Nie tyle więc zadecydowała o cenie merytorycznej — bo takiej nie było — co niezrozumiałe „układy”. Sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie. Po została jedynie gorycz.

Kierownik artystyczny, Józef Jasielski sugeruje, że winę ponosi krytyka teatralna, która jest w Polsce nierzetelna i stronnicza. To prawda — trzy recenzje z Legnicy, jakie dotąd ukazały się w „Teatrze”, to prawie nic („Molier” jest 43 premierą). Radio i telewizja również nie przejawiają żadnego zainteresowania działalnością legnickiej sceny. Prawdą jest, że regionalna prasa pisze o teatrze często przypadkowo i niefachowo.

Józef Jasielski w rozmowie nie ukrywał przede mną, że w niedalekiej przyszłości zamierza znaleźć sobie inne miejsce pracy.

KRZYSZTOF KARWAT